

CZESŁAW MIŁOSZ

TO

wyd. Znak 2001

TO

Żeby wreszcie powiedzieć mógł, co siedzi we mnie.
Wykrzyknąć: ludzie, okłamywałem was
Mówiąc, że tego we mnie nie ma,
Kiedy TO jest tam ciągle, we dnie i w nocy.
Chociaż właśnie dzięki temu
Umiałem opisywać wasze łatwopalne miasta,
Wasze krótkie miłości i zabawy rozpadające się w próchno,
Kolczyki, lustra, zsuwające się ramiączko,
Sceny w sypialniach i na pobojowiskach.

Pisanie było dla mnie ochronną strategią
Zacierania śladów. Bo nie może podobać się ludziom
Ten, kto sięga po zabronione.

Przywołuję na pomoc rzeki, w których pływałem, jeziora
Z kładką między sitowiem, dolinę,
W której echu pieśni wtórzy wieczorne światło,
I wyznaję, że moje ekstatyczne pochwały istnienia
Mogły być tylko ćwiczeniami wysokiego stylu,
A pod spodem było TO, czego nie podejmuje się nazwać.

TO jest podobne do myśli bezdomnego, kiedy idzie po
mroźnym,
obcym mieście.

I podobne do chwili, kiedy osaczony Żyd widzi zbliżające się
ciężkie kaski niemieckich żandarmów.

TO jest jak kiedy syn króla wybiera się na miasto i widzi świat
prawdziwy: nędzę, chorobę, starzenie się i śmierć.

TO może też być porównane do nieruchomej twarzy kogoś,
kto pojął, że został opuszczony na zawsze.

Ponieważ TO oznacza natknięcie się na kamienny mur,
i zrozumienie, że ten mur nie ustąpi żadnym naszym
błaganiom.

Do leszczyny

Nie poznajesz mnie, ale to ja, ten sam,
Który wycinał na luki twoje brunatne pręty,
Takie proste i śmigłe w biegnięciu do słońca.
Rozrosłaś się, ogromny twój cień, hodujesz pędy nowe.
Szkoda, że tamtych chłopcem już nie jestem.
Chyba kij sobie bym wyciął, bo widzisz, chodzę o lasce.

Kochałem twoją korę, brązową z białym nalotem,
Koloru najzupelniej leszczynowego.
Radują mnie te, co przetrwały, dęby i jesiony,
Ale ty ucieszyłaś mnie najbardziej,
Jak zawsze czarodziejska, z perłami twoich orzechów,
Z pokoleniami wiewiórek, które w tobie tańczyły.

Jest coś z heraklitejskiej zadumy, kiedy tutaj stoje,
Pamiętając siebie minionego

I życie, jakie było, a też jakie być mogło.
Nic nie trwa, ale trwa wszystko: ogromna stałość.
I próbuję w niej umieścić swoje przeznaczenie,
Którego, tak naprawdę, przyjąć nie chciałem.
Byłem szczęśliwy z moim lukiem, skradając się brzegiem
baśni.
Co stało się ze mną później, zasługuje na wzruszenie ramion
I jest tylko biografią, to znaczący myśleniem.

POST SCRIPTUM

Biografia, czyli zmyślenie albo wielki sen.
Obłoki ułożone warstwami na skrawku nieba między
jasnością brzóz.
Żółte i rdzawe winnice pod wieczór.
Na krótko byłem sługą i wędrowcem.
Odpuszczony wracam drogą niebyłą.

Szetejnie - Napa Valley, jesień 1997

Nie rozumiem

"Michenhauz Henryk, rotmistrz ratajski J.K.M., zaślubił w
Kujanach 10 lutego 1650 r. Małgorzatę z Hornów i
bezpośrednio potem był zabity przez swego szwagra Horna".
(Księgi i notatki metrykalne Parafii Ewangelicko-
Reformowanej Keydany)
Cyt. za: Szymon Konarski, *Szlachta kalwińska w Polsce*

Ależ Kujany to obok Szetejń i tam drogą wzdłuż Niewiaży
bosonogi biegałem. Więc duchowny z Kiejdan, gdzie był
zbór, przyjechał saniami (luty) do Kujan, żeby dać ślub. To
nie mogli na ślub pojechać do Kiejdan? A czyje były Kujany?
Michenhauza? Hornów? W tej zbieraninie nacji przy księciu
Radziwille skąd pochodzą te nazwiska? I dlaczego Horn zabił
pana Henryka Michenhauza? Uczując razem i w pijanej
zawadzie? Czy może z powodu kazirodczej miłości do
Małgorzaty? I jak? Ciosem szabli? Rapiera? Z muszkietu? Z
króciцы? I gdzie rotmistrz Jego Królewskiej Mości został
pogrzebany? Co dalej działo się z wdową po nim,
Małgorzatą? Kogo poślubiła? Z każdym dniem coraz głębiej,
sam cień, wchodzę między cienie. Stulecia mijają, imion i
duchów dokoła mnie coraz więcej, nie tak jak w młodości,
kiedy rytm mojej krwi zabraniał ludziom minionym dostępu.
Teraz im bliski, wzywam ich, wyobrażam. I ziemia, jej
ziarnistość, w bosych stopach pamięć kolein drogi z jej
kałużami po deszczu, w górze park i dwór Kujany. Ilu ich,
tych, którzy w tej okolicy żyli, cielesnych, jak ja jestem
cielesny i dlatego niezdolny zrozumieć, jak życie może
zmienić się w śmierć i podnoszące się w oddechu płuca
znieruchomieć. Tak silnie myślę: tutaj, że wystarczyłoby wziąć
ten mały skrawek planety Ziemi i budować na nim
niewidoczną wieżę żywotów aż pod niebiosa, teraz kiedy ich
kości nikt już nie znajdzie. A to jest, jak kiedy przy stole na
naszym przyjęciu studentów i studentek nagle przestawałem
tam być i nasz wszystkich, rozgadanych, śmiejących się,
ogarniałem wzrokiem, jak gdyby już tych, co żyli byli
dawno.

Mój dziadek Zygmunt Kunat

W fotografii mego dziadka, kiedy miał sześć lat, zawiera się, moim zdaniem, sekret jego osoby.

Szczęśliwy chłopczyk, radośnie filuterny, przez jego skórę prześwieca dusza bystra i pogodna.

Fotografia pochodzi z lat sześćdziesiątych dziewiętnastego wieku, i oto ja, w późnej starości, wybieram się tam, żeby towarzyszyć zabawom dziecka.

Nad znajomym jeziorem, do którego właśnie rzucam kamyczki, pod jesionami, które miały znaleźć się w moich wierszach.

Kunatów liczono do szlachty kalwińskiej, co snobistycznie odnotowuję, bo u nas na Litwie najbardziej oświeceni byli kalwini.

Rodzina zmieniła wyznanie późno, około 1800 roku, ale nie zachowałem żadnego obrazu dziadka w kościelnej ławce w Świętobrości.

Nigdy jednak nie mówił źle o księżach, ani w czymkolwiek uchylał przyjętym obyczajom.

Student Szkoły Głównej w Warszawie, tańczył na balach i czytał dzieła epoki pozytywizmu.

Wziął poważnie zasady pracy organicznej i dlatego w Szetejniach zaczął wyrabiać sukno, toteż bawiłem w pokojach, w których stały warsztaty do folowania.

Był uprzedzająco grzeczny dla wszystkich, wielkich i małych, bogatych i biedaków, miał dar wysłuchiwania każdego.

Oskar Miłosz, który poznał go w Kownie w roku 1922, nazwał go *un gentil homme du dix-huitieme siecle*, francuskim szlachcicem osiemnastego wieku.

Zewnętrzny polor nie wyczerpywał jednak jego istoty, ukrywała się tam mądrość i prawdziwa dobroć.

Rozmyślając o moim dziedzicznym obciążeniu mam chwilę ulgi, kiedy przypomnę sobie mego dziadka, bo musiałem coś wziąć po nim, czyli nie jestem całkiem bez wartości.

Nazwano go "litwomaniem" i czyż nie zbudował domu w Legmiadzi, który służył za szkołę i czyż nie oplacał litewskiego nauczyciela?

Lubili go wszyscy, Litwini, Polacy i Żydzi, miał mir u okolicznych wiosek.

(Tych wiosek, które w kilka lat po jego śmierci zostały wywiezione na Sybir i dlatego jest tam teraz tylko pusta równina.)

Ze wszystkich książek najbardziej lubił czytać pamiętniki Jakuba Gieyszтора, bo szczegółowo opisują naszą dolinę. Niewiązy między Kiejdanami i Krakinowem.

W młodości mnie one nie interesowały, bo co mi po tym, co było dawno, jeżeli obchodziła mnie tylko przyszłość.

Dzisiaj czytam te pamiętniki chciwie, nauczony, jaką wartość mają nazwy miejscowości, zakręty drogi, pagórki i promy na rzece.

Jak bardzo trzeba cenić prowincję i dom, i daty, i ślad minionych ludzi.

Kalifornijski wędrowiec, przechowuję talizman, zdjęcia pagórka w Świętobrości, gdzie pod dębami leżą dziadek Zygmunt Kunat, pradziadek Szymon Syruć i jego żona, Eufrozyna.

Jeziro

Jeziro panińskie, jezioro głębokie,
Zarastaj sitowiem jak dawniej u brzegu,
Igraj w południe z odbitym obłokiem
Dla mnie, w dalekich krajach znikniętego.

Twoja panienka jest dla mnie prawdziwa,
W wielkim mieście nad morzem zostały jej kości.
Zanadto prawidłowo wszystko się odbywa.
Odjęta jest jedność jedynej miłości.

Panienka, ej, panienka. Leżymy w otchłani.
Nasada czaszki, żebro i miednica.
Czy to ty? Czy to ja? My już za światami.
Żaden zegar nam godzin ni lat nie odlicza.

Żeby taka nietrwiała rzecz, a razem wieczna
Odgadnąć przeznaczenie i los dopomogła!
Jesteś ze mną w literze-kryształe zamknięta.
To nic, że do żywej panienki niepodobna.

Po podróży

Jakże to dziwne, niezrozumiałe życie! Jakbym wrócił z niego niby z długiej podróży, i próbował sobie przypomnieć, gdzie byłem i co robiłem. Nie bardzo się to udaje, a już najtrudniej zobaczyć tam siebie. Miałem zamiary, motywacje, coś postanawiałem, coś wykonywałem, ale z odległości tamten człowiek wydaje się istotą irracjonalną i absurdalną. Zupełnie jakby nie tyle działał, ile był działany przez posługujące się nim siły. Bo przecie napisał dużo książek, tutaj one, a tam on, i jak przeprowadzić pomiędzy nim i nimi nitkę ciągłości?

W rozmyślaniu o życiu-podróży dotkliwie dokuczają niemożność odpowiedzi na pytanie o sedno i sens własnej osoby. Niejasny dla siebie, chcąc odgadnąć, kim byłem dla innych, szczególnie dla kobiet, z którymi łączyły mnie związki przyjaźni albo miłości. Ale teraz jesteśmy jak uśpiony teatr marionetek, którego lalki leżą na płask w płataninie swoich sznurków i nie dają pojęcia o tym, czym było przedstawienie.

Głowa

Olbrzymia głowa wynurzała się
zza pagórków po drugiej stronie rzeki
i widziała chłopca z wędką,
który, wpatrzony w pławik,
myślał tylko: weźmie, nie weźmie.

- Co z nim zrobimy - zastanawiała się głowa,

wydając dyspozycje duchom lotnym,
wyspecjalizowanym w układaniu losu.

- No i tak - powiada sobie głowa,
mając przed sobą to samo miejsce nad rzeką
i starca, który wrócił tutaj po długich podróżach.

- Niektórym wydaje się,
że to oni sami postanawiają, spełniają.
Ten przynajmniej wie,
że był igraszką sił
chichoczących, nurkujących w powietrzu,
i tylko dziwi się,
że tak mu wypadło.

Zapomnij

Zapomnij o cierpieniach,
Które sam zadałeś.
Zapomnij o cierpieniach,
Które tobie zadano.
Wody płyną i płyną,
Wiosny blysną i giną,
Idziesz ziemia ledwie pamiętana.

Czasem słyszysz daleko piosenkę.
Co to znaczy, pytasz, kto tam śpiewa?
Dziecinne słońce wschodzi,
Wnuk i prawnuk się rodzi.
Teraz ciebie prowadzą za rękę.

nazwy rzek tobie jeszcze zostały.
Jakże długo umięją trwać rzeki!
Pola twoje, ugorne,
Wieże miast, niepodobne.
Ty na progu stoisz, zaniemiały.

W mieście

Miasto było ukochane i szczęśliwe,
Zawsze w czerwcowych piwoniach i późnych bzach,
Pnące się barokowymi wieżami ku niebu.
Powrócić z majówki i stawiać w wazach bukiety,
Za oknem widzieć ulicę, którą kiedyś szło się do szkoły
(Na murach ostre granice słońca i cienia).
Kajakowanie razem na jeziorach.
Miłosne wyprawy na wyspy porośnięte łożą.
Narzeczeństwo i ślub u Świętego Jerzego.
A później konfraternia ucztuje u mnie na chrzcinach.
Cieszą mnie turnieje muzyków, krasomówców, poetów,
Brawa tłumu, kiedy ulicami przeciąga Pochód Smoka.
Co niedziela zasiadałem w kolatorskiej ławce.
Nosilem togę i złoty łańcuch, dar współobywateli.
Starzałem się, wiedząc, że moje wnuki zostaną miastu wierne.

Gdyby tak było naprawdę. Ale wywiało mnie
Za morza i oceany. Żegnaj, utracony losie.
Żegnaj, miasto mego bólu. Żegnajcie, żegnajcie.

**Uczciwe opisanie samego siebie nad szklanką whisky
na lotnisku,
dajmy na to w Minneapolis**

Moje uszy coraz mniej słyszą z rozmów, moje oczy słabną,
ale dalej są nienasycone.

Widzę ich nogi w minispódniczkach, spodniach albo w
powiewnych tkaninach,

Każdą podglądam osobno, ich tyłki i uda, zamyślony,
kolosany marzeniami porno.

Stary lubieżny dziadu, pora tobie do grobu, nie na gry i
zabawy młodości.

Nieprawda, robię to tylko, co zawsze robiłem, układając
sceny tej ziemi z rozkazu erotycznej wyobraźni.

Nie pożądam tych właśnie stworzeń, pożądam wszystkiego, a
one są jak znak ekstatycznego obcowania.

Nie moja wina, że jesteśmy tak ulepieni, w połowie z
bezinteresownej kontemplacji, i w połowie z apetytu.

Jeżeli po śmierci dostanę się do Nieba, musi tam być jak tutaj,
tyle że pozbędę się tępych zmysłów i ociężałych kości.

Zmieniony w samo patrzeć, będę dalej pochłaniał
proporcje ludzkiego ciała, kolor irysów, paryską ulicę w
czerwcu o świcie, całą niepojętą, niepojętą mnogość
widzialnych rzeczy.

Na moje 88 urodziny

Miasto gęste od krytych pasaży, wąskich
placyków, arkad,
schodzące tarasami ku morskiej zatoce.

I ja, zapatrzony w młode piękno,
cielesne i nietrwale,
jego ruch taneczny wśród starych kamieni.

Kolory sukien według letniej mody,
stuk pantofelka na dallach sprzed stuleci,
cieszą mnie swoim obrzędem powrotu.

Dawno zostawiłem za sobą
zwiedzania katedr i wież warownych.
Jestem jak ten, kto widzi, a jednak sam nie przemija,
duch lotny mimo siwizny i chorób starości.

Ocalony, bo z nim wieczne i boskie zdziwienie.

Genua, 30 czerwca 1999

Bieg

Radosny mój bieg po ciemnych parkach jesienią,
Kiedy na ścieżkach igliwie albo szelest liści,
I polany pod dębami pustoszeją,
Gasną sine oka telewizji.

Takiej lekkości kroków nigdy nie miałem,
Chyba dawno, w moje poranki ośmioletniego.
Uniesiony nad ziemię, napojony światłem,
Nie ustaję w napowietrznym biegu.

Nieźyczliwie mnie wita przebudzona jawa.
W dzień o lasce powoli pełzną, astmatyczny.
Ale noc mnie na długie podróże wyprawia
I tam, jak na początku, świat nowy i śliczny.

Nad strumieniem

Szmer przezroczystej wody na kamieniach
w jarze pośrodku wysokiego lasu.
Jaśniej w słońcu paprocie na brzegu,
piętrzy się nieograniczona forma liści
lancetowatych, mieczykowatych,
sercowatych, łoputowatych,
językowatych, pierzastych,
karbowanych, ząbkowanych,
piłkowanych - i kto to wypowie.
I kwiaty! Białawe baldachy,
modre kielichy, jaskrawożółte gwiazdy,
rózyczki, grona.
Siedzieć i patrzeć
na uwijanie się trzmieli, loty ważek,
podrywanie się muchówki,
w płataninie łodyg pośpiech czarnego żuka.
Wydaje mi się, że słyszę głos demiurga:
"Albo nieme skały jak w pierwszym dniu stworzenia,
albo życie, którego warunkiem śmierć,
i to upajające ciebie piękno".

O!

O, szczęście! widzieć irys.

Kolor indygo jak kiedyś suknia Eli
i delikatny zapach, jak zapach jej skóry.

O, jaki belkot żeby opisać irys,
który kwitł, kiedy nie było żadnej Eli
i żadnych naszych królestw
i żadnych krajów.

O!

**Gustav Klimt (1862-1918), *Judyta (szczegół)*,
Osterreichische Gallerie, Wiedeń**

O, usta na wpół rozchylone, oczy przymknięte, różowa
sutka w obnażonej twojej nagości, Judyto!

Z wyobrażeniem ciebie oni, biegnący do
ataku, rozrywani wybuchami artyleryjskich
pocisków, spadający w dół, w zginiliznę!

O, lite złoto twoich tkanin, naszyjnika z rzędami
drogich kamieni, Judyto, na takie ich pożeganie!

O!

**Salvator Rosa (1615-1673), *Pejzaż z postaciami*, Yale
University Gallery**

O, spokój wody pod skalami i żółta cisza popołudnia, i
odbite
poziome obłoki!

Postacie na pierwszym planie ubierające się po kąpieli, inne
na drugim brzegu malutkie i w swoich czynnościach
tajemnicze!

O, najwyklesze wyjęte z codzienności i podniesione w scenę
do ziemskiej podobną i niepodobną!

O!

**Edward Hopper (1882-1967), *Pokój hotelowy*, Thyssen
Collection, Lugano**

O, jaki smutek nieświadomy, że jest smutkiem!
Jaka rozpacz, nieświadoma, że jest rozpaczą!

Kobieta kariery, obok jej walizki, siedzi na
łóżku, półnaga, w czerwonej halce, uczesanie jej
nienaganne, w rękę ma kartkę z cyframi.

Kim jesteś? - nikt nie zapyta, sama też nie wie.

Gdziekolwiek

Gdziekolwiek jestem, na jakimkolwiek miejscu
na ziemi, ukrywam przed ludźmi przekonanie,
że ~~n i e j e s t e m s t ą d~~.
Jakbym był posłany, żeby wchłonąć jak najwięcej
barw, smaków, dźwięków, zapachów, doświadczyć
wszystkiego, co jest
udziałem człowieka, przemienić co doznane
w czarodziejski rejestr i zanieść tam, skąd
przyszędłem.

Voyeur

Byłem podglądaczem wędrownym na ziemi.
Szumiało, mieniło się wewnątrz galaktycznej bańki mydlanej.

Jej kapelus z kwiatami lila, nosiła majtki z koronką,
Ucztowaliśmy z nią przy obrusie cętkowanym w słoneczne
plamy.

Albo jej na wpół gołe piersi w sukni Empire.
Przebierałem się w kolorowy frak z orderem,
Byle tylko móc zgadywać ich stwardniały dotyk.

Zawsze myślałem o tym, co kobiety noszą zakryte:
Ciemne wejście do ogrodu wiedzy
W pianie halek, falbanek i spódnic.

A później umierały one, ich atlasy i lustra.
Dogaressy, księżniczki, panny służebne.
Ścisłało mnie w gardle, że takie piękne zmieniają się w
truchło.

Naprawdę nie szukałem kochania się z nimi.
Pożądały ich moje oczy, chciwe, bardzo chciwe,
Zaproszone na komiczne widowisko,
W którym filozofia i gramatyka,
Poetyka i matematyka,
Logika i retoryka,
Teologia i hermeneutyka,
Oraz wszelkie nauki mędrców i proroków
Zgromadziły się, żeby układać pieśń nad pieśniami

Tak zwane życie

Tak zwane życie:
wszystko, co dostarcza tematów operze mydlanej,
nie wydawało mu się godne opowieści,
czy też chciałby mówić, ale nie umiał.
Dziwiły go poplątane historie mężczyzn i kobiet,
ciągnące się aż po migotliwą niepamięć.
Sam umiał tylko zaciskać zęby i znosić,
Czekając, aż starość odbierze dramatom znaczenie
i pryśnie opera mydlana
miłości, nienawiści, pokus i zrad.

Przepis

Tylko nie wyznania. Własne życie
Tak mnie dojadło, że znalazłabym ulgę
Opowiadając o nim. I zrozumieliby mnie
Nieszczęśnicy, a ilu ich!, którzy na ulicach miast
Chwieją się, półprzytomni czy pijani,
Chorzy na trąd pamięci i winę istnienia.
Więc co mnie powstrzymuje? Wstyd,
Że moje zmartwienia nie są dość malownicze?
Albo przekora? Zbyt modne są jęki,
Nieszczęśliwe dzieciństwo, uraz, i tak dalej.
Nawet gdybym dojrzywał do skargi hiobowej,
Lepiej zamilczeć, pochwalić niezmienny
Porządek rzeczy. Nie, to co innego
Nie pozwala mi mówić. Kto cierpi, powinien
Być prawdomówny. Gdzież tam, ile przebrań,
Ile komedii, litości nad sobą!
Falsz uczuć odgaduje się po falszu frazy.

Zanadto cenię styl, żeby ryzykować.

W czarnej rozpacz

W czarnej rozpacz i w szarym wątpieniu
Skladałem wierszem hold Niepojętnemu
Udając radość, chociaż jej zabrakło,
Bo mnożyć skargi byłoby łatwo.

Co odpowiedzieć, kiedy kto zapyta:
Dzielny był człowiek - czy też hipokryta?

Przykład

Osiemdziesięcioletnia, moja przyjaciółka pisze w pamiętniku
"Nie miałam czasu ni ochoty na zmartwienia".
Jej dobry przykład umacnia mnie.

Willa blyszczy, księżyc w pełni, za przystanią AZS-u
Kochamy się. I ta chwila nieraz mnie pocieszy,
Choć w moim życiorysie dużo goryczy.

Śpiewać i tańczyć przed obliczem Pana!
Po prostu dlatego, że skarga nie przyda się na nic,
Jak powiada moja dzielna, niepokonana Irena.

Obudzony

W głębokiej starości, z pogarszającym się zdrowiem,
obudziłem się w środku nocy i wtedy tego doznałem. Było to
uczucie szczęścia tak olbrzymiego i doskonałego, że w życiu
minionym istniały tylko jego zadatki. I to szczęście nie miało
żadnych powodów. Nie usuwało świadomości i nie zniknęła
przeszłość, którą w sobie nosiłem razem z moją zgryzotą.
Teraz nagle została włączona jako potrzebna część całości.
Jakby jakiś głos mówił: "Nie martw się, wszystko odbyło się
tak, jak być musiało, zrobiłeś, co tobie było wyznaczone i nie
musisz już myśleć o rzeczach dawnych". Spokój, który
czulem, był spokojem zamknięcia rachunków i łączył się z
myślą o śmierci. Szczęście po tej stronie było niby zapowiedź
tego samego po drugiej stronie. Zdawałem sobie sprawę, że
otrzymuję dar nieoczekiwany i nie mogłem pojąć, dlaczego
spadła na mnie ta łaska.

Zanurzeni

Ależ nie każdemu zdarza się prawdziwa starość.
Jej właściwe jest rozpamiętywanie
Cieleśnej pychy, która rozpierała nas kiedyś
W nas, tych samych, a jakże innych.
Był wysoki komizm
W układaniu włosów przed lustrem,
W troskach o to, czy kapelusz dość twarzowy,
W zwilżaniu warg koniuszkiem języka
I przesuwaniem po nich kredki,
W wiązaniu krawata przed lustrem z miną króla zwierząt.

Jakże bawił się nami Duch Ziemi!
Jeżeli indywidualum jest formą, a gatunek materią.
Jak zdawał się sądzić Duns Scotus,
Spelnialiśmy, czego żądał gatunek, zanurzeni
W materii, ktoś powie: po uszy.

A później dźwiga się z miraży syntetyczne miasto.
Między gotyckimi wieżami loty jaskółek.
Starzec w oknie, który widział wiele miast,
Niemalże wyzwolony, śmieje się
I donikąd wracać nie zamierza.

Vipera Berus

Chciałem powiedzieć prawdę,
i nie udawało mi się.
Próbowałem spowiedzi,
ale nic nie umiałem wyznać.
Nie wierzyłem w psychoanalizę,
bo dopiero bym nakłamał.
I dalej noszę w sobie zwiniętą żmiję winy.
A to dla mnie wcale nie abstrakcja.
Stoję na mszarnie w Raudonce koło Jaszun
i ogon żmii właśnie znika w kępie mchu
pod karłowata sosenką,
kiedy naciskam cyngiel
i wywalam ładunek śrutu z berdany.
Dotychczas nie wiem, czy któreś ziarno ołowiu
trafiło w obrzydły biały brzuch
albo w zygzak na grzbiecie *Vipera berus*.
W każdym razie łatwiej to opisywać
niż duchowe przygody.

Texas

Wróciłem z Texasu,
Czytałem tam wiersze.
Nigdzie nie płacą tak dobrze jak w Ameryce za czytanie
wierszy.
Stawiałem obok autografu datę 2000.

Starość oblepia nogi jak gęsta smoła.
Umysł broni się, ale to znaczy świadomość.
I cóż ja mam zrobić, odsłonić ją komu?
Najlepszą strategią będzie nie mówić nic.

Poznałem wstyd przypomnianej iluzji
kochania, nienawidzenia,
czekania, dążenia.

I ledwo mogę uwierzyć,
Że udało mi się przeżyć życie.

Sztukmistrz

Sztukmistrzu, rozkładaj swoje instrumenty.

Wysokie echo powraca z gór, słyhać huk wiosennych
potoków.

Dziecinny oczom, jak twoim kiedyś, objawia się pierwszy
raz
piękno ziemi.

Sztukmistrzu, budujesz gwiazdę, która będzie wędrować
po niebie dopiero co urodzonych.

Podczas gdy ty usuwasz się bez żalu, myśląc o tym, jak trudno
było przeżyć życie.

I nauczyć się, że dostajemy nie to, czego chcieliśmy,
a dwie największe cnoty to rezygnacja i upór.

I że świadomość nie daje pociechy, bo jest świadomością
błazna
fikającego koziołki na scenie i chciwego oklasków.

Nabyłeś nie żądanej wiedzy o sobie i innych,
wypełniłeś się po brzegi litością i podziwem.

Oby ci, którzy ciągnąć dalej mają dzieło, zaczęli tam,
gdzie ty kończyłeś, mistrzu pokonanej rozpaczy.

Pochwalający, odnawiający, uzdrawiający, wdzięczny za to,
że były dla ciebie i będą dla innych wschody słońca

Wy, pokonani

Wy, pokonani i wygnani,
Rok za rokiem wpatrzeni w fotografię białego dworu
I towarzystwa w letnich strojach zebranego przed gankiem,
Przebaczcie mnie, paniczowie z dobrej rodziny,
Że jeszcze w szkole zdradziłem was,
Wybierając się na karkołomną wyprawę do krain intelektu,
W których nie posuwa się nad tłumem wiernych baldachim
na Boże Ciało,

I girlandy z liści nie ozdabiają wnętrza parafialnego kościoła.

Księżycowe jałowizny, samotność i gniew
Okazują się jednak potrzebne
Po to, żebym mógł podnieść do drugiej potęgi
Mój powiat i was, moje cienie,
Którzy przybywacie na moje wezwanie,
Dlatego tylko, że byłem człowiekiem ze skazą,
Wylączonym z ojców obyczaju,
I znaczonej mnie była inna wierność.

Okazy

Okazy nie wiedzą, że są okazami.
Bujają sobie wysoko nad łąką,
po której pan w korkowym helmie
kroczy z siatka na motyle.

Jak przekonać motyla, że jest okazem?
O potężny, drapieżny władco! Maharadżo!
Proroku Eliaszu! Habakuku!
Złóż swoje skrzydła na ołtarzu wiedzy!

O Bazylisso! Lady Makbet! Tytanio! Lenoro!
Zamiast być tylko sobą, możesz zostać
przedstawicielką gatunku,

I trwać na zawsze w rejestrze
obok królestw, pomników i świątyń,

Razem z panem w korkowym helmie, kroczącym łąką
w tysiąc dziewięćsetnym roku naszej ery.

Rok 1900

Wydobyć się z myśli o własnej osobie,
to pierwsza rada w depresji.
Przenoszę się dlatego w rok 1900.

Ale jak porozumieć się z państwem umarłych?
Wpatruję się w lustro,
w korytarze luster odbitych w lustrach.
Tam mignie kapelusz w razerem, falbany,
albo biel nagości w półmroku,
Mariola, Stefania, Lilka
czeszzące długie włosy.

Jeżeli wypadły poza czas i przestrzeń,
powinny być tam, gdzie cesarz Tyberiusz,
albo łowcy bizonów sprzed lat dwunastu tysięcy.
Ale one ciągle blisko i tylko oddalają się,
powoli, rok za rokiem,
jakby dalek brały udział w naszym nieczystym balu.

To jasne

To jasne, że nie mówiłem, co naprawdę myślę,
Ponieważ na szacunek zasługują śmiertelni,
I nie wolno wyjawiać, w mowie ani na piśmie
Sekretów naszej wspólnej cielesnej mizerii.
Chwiejnym, słabym, niepewnym wyznaczona praca:
Wznieść się dwa centymetry nad swoją głową
I móc powiedzieć komuś, kto rozpacza:

"Ja też tak samo płakałem nad sobą".

Własne tajemnice

Wszystkie moje nieszczęsne tajemnice
Jedna po drugiej będą wypatrzone.
Aż powie ktoś: jakie ubogie życie
I ścieżki stamtąd w górę jakie strome.

Jeżeli

Jeżeli nie mogę dostąpić Raju
(Bo niewątpliwie za wysokie dla mnie progi),
Chciałbym w którymś z regionów Czyścica
Dostąpić wyzwolenia z fantomów umysłu,
Których władzę nade mną pamiętam,
Choć nie dowierzałem im.
Męki zazdrości pod jej okiem na pustej ulicy.
To znów wzywianie miłości doskonałej,
Ponadcielesnej niemal, ponadziemskiej.
Śmiać się czy płakać? Ale tkwią w ciele
Te drzazgi egzaltacji i nierozumu.
Obym jeszcze mógł zobaczyć jasno,
Nie klamać nikomu, ani sobie,
I dobre intencje, jeżeli były,
Podawać na moją obronę.

Przemilczane strefy

*Prawda jest rzeczą straszna. Ma być dla każdego taka, jaką kto
wytrzyma, jaką zniesie, jaką kto unieść potrafi. A już zwłaszcza
nikomu swojej prawdy nie ujawniać, nie skłaniać do jej przyjęcia, do
poznania rzeczy przekraczających siły bliźniego.*

Zygmunt Mycielski, "Niby dziennik"

To nie było tak.
Ale nikt nie ośmiela się mówić, jak było,
i ja, dostatecznie stary, żeby pamiętać,
powtarzam jak inni słowa politycznie poprawne,
bo nic nie upoważnia mnie
do wyjawiania rzeczy zbyt okrutnych dla ludzkiego serca.

Ze szkodą

Jak najmniej szkodzić. O to zabiegałem.
Choć mało znaczy tutaj nasza wola.
Dosyć połączyć dwa słowa, już biegną,
Chwytają, niosą na obrzęd plemienny.
Piszmy dla siebie, dla paru przyjaciół,
Żeby umilić niedzielną majówkę:
Tak się zaczyna. A później sztandary,
Wrzaski, prorocstwa, obrona barykad.
Mój wielki patron zrobił dużo złego.
Lepiej by został przy swoich balladach,
No i sonetach. Nikt mu nie powiedział:
Już dosyć, przestań. Wiźli go sumieniem,
I prowadzili, trzymając za ręce.
Czy my rodzimy się dla mitologii?
I czy naprawdę bez własnego życia?
Co za demonizm w naturze języka,
Że można zostać tylko jego sługą!

I ja szkodziłem, może mniej niż inni.
W przebraniach, maskach, nierozpoznawalny,
Niejednoznaczny. Już to jest ochroną
Przed recytacją na dorocznym święcie.

Wybierając wiersze Jarosława Iwaszkiewicza na wieczór jego poezji

Kiedy zasiada na papieskim tronie
Polski romantyk, na dowód, że moce
Poezji bardzo szczególne bywają,
Zadania proste przestają być proste,
Ja też poczułem się odpowiedzialny.
Jak więc pokazać twój wiersz, Jarosławie,
Ludziom, co wierzą albo pragną wierzyć
W opatrnościową sensowność historii?
Twoja poezja, choćby znakomita,
Zawarła w sobie tak żalobne treści,
Że wielbicielom nie wyjdzie na zdrowie.
Tak jest, niestety. Czyż nie ulegałeś
Słodkim pokusom ulgi w nieistnieniu,
Uciezki w nicość? Gdyby nawet prawdą
Było, że z marzeń naszego gatunku
Zostanie tylko ogromny śmiech pustki,
A my jesteśmy oddzielne nicoście
Jak brylki szluzu na plaży bez granic,
To i tak chwała należy się mężnym,
Którzy do koca zakładali protest
Przeciwko wierze niweczającej śmierci.
Z wierszy wybiorę te uświetniające
Mowę pokoleń, nasze gospodarstwo.
Bo ty przyniosłeś ze swojej Ukrainy
Barwy i zapach kwitnącego stepu,
Słone powiewy od greckiego morza
I biel, i złoto bizantyjskich zmierzchów.
Nienasycony i zdumiony pięknem,
Słuchałeś rytmów dnia i rytmów nocy,
Zmieniając siebie w muzyczny instrument.
Słyszemy w twojej melodyjnej frazie
Ton głębinowy, pomimo zwątpienia.
I powracają nam nieraz na usta
Twoje modlitwy do Dionizosa.

Oda na 80 urodziny Jana Pawła II

Przychodzimy do ciebie, ludzie słabej wiary,
Abyś nas umocnił przykładem swego życia
I oswobodził od niepokoju
O dzień i rok następny. Twój to wiek dwudziesty
Zasłynął nazwiskami potężnych tyranów
I obróceniem w nicość ich drapieżnych państw.
Że tak będzie, wiedziałeś. Uczyleś nadziei:
Bo tylko Chrystus jest panem historii.

Cudzoziemcy nie zgadli, skąd ukryta siła
U kleryka z Wadowic. Modlitwa, prorocstwo
Poetów nie uznanych przez postęp i pieniądź,
Choć królom byli równi, czekały na Ciebie,
Abyś za nich oznajmił urbi et orbi,
Że dzieje nie są zamęt, ale ład szeroki.

Pasterzu nam dany, kiedy odchodzą bogowie!
I we mgle nad miastem błyszczą Złoty Cielec.
Bezbronne tłumy biegną, składają ofiarę

Z własnych dzieci skrwawionym ekranom Molocha.
I lęk w powietrzu, niewymówiony lament:
Bo nie dosyć chcieć wierzyć, żeby móc uwierzyć.

I nagle jakby czysty dźwięk dzwonu na jutrznię,
Twój znak sprzeciwu podobny do cudu,
Żeby zapytywano: jakże to możliwe,
Że wielbią Ciebie młodzi z niewierzących krajów,
Gromadzą się na placach głowa przy głowie,
Czekając na nowinę sprzed lat dwóch tysięcy,
I przypadają do stóp Namiestnika,
Który miłością objął ludzkie plemie.

Jesteś z nami, i odtąd zawsze będziesz z nami.
Kiedy odezwą się moce chaosu,
A posiadacze prawdy zamkną się w kościołach,
I jedynie wątpiacy pozostaną wierni,
Twój portret w naszym domu co dzień nam przypomni,
Co może jeden człowiek, i jak działa świętość.

Czego nauczyłem się od Jeanne Hersch?

1. Że rozum jest wielkim boskim darem i że należy wierzyć w jego zdolność poznawania świata.
2. Że mylili się ci, którzy podrywali zaufanie do rozumu, wyliczając, od czego jest zależny: od walki klas, od libido, od woli mocy.
3. Że powinniśmy być świadomi naszego zamknięcia w kręgu własnych doznań, nie po to jednak, żeby sprowadzać rzeczywistość do snów i majaków naszego umysłu.
4. Że prawdomówność jest dowodem miłości, a po kłamstwie poznaje się niewolę.
5. Że właściwą postawą wobec istnienia jest szacunek, należy więc unikać towarzystwa osób, które ponizają istnienie swoim sarkazmem i pochwalają nicłość.
6. Że choćby nas oskarżano o arogancję, w życiu umysłowym obowiązuje zasada ścisłej hierarchii.
7. Że nałogiem intelektualistów dwudziestego wieku było "baratin", czyli nieodpowiedzialne paplanie.
8. Że w hierarchii ludzkich czynności sztuka stoi wyżej niż filozofia, ale zła filozofia może zepsuć sztukę.
9. Że istnieje prawda obiektywna, czyli z dwóch różnych sprzecznych twierdzeń jedno jest prawdziwe, drugie fałszywe, z wyjątkiem określonych wypadków, kiedy utrzymanie sprzeczności jest uprawnione.
10. Że niezależnie od losu wyznań religijnych powinniśmy zachować "wiarę filozoficzną", czyli wiarę w transcendencję, jako istotną cechę naszego człowieczeństwa.
11. Że czas wyłącza i skazuje na zapomnienie tylko te dzieła naszych rąk i umysłu, które okażą się nieprzydatne we wznoszeniu, stulecie za stuleciem, wielkiego gmachu cywilizacji.
12. Że we własnym życiu nie wolno poddawać się rozpaczom z powodu naszych błędów i grzechów, ponieważ przeszłość nie jest zamknięta i otrzymuje sens nadany jej przez nasze późniejsze czyny.

Przeciwieństwo

Po jednej stronie świat, po drugiej ludzie i bogowie.

Świat jest nieugięty, nieublagany, obojętny.

To kamień, o który, biegnąc boso, ranileś wielki palec stopy.

Ludzie i bogowie są w ciągłym ruchu winy i przebaczenia.

Ich ciepłe gardła wymawiają słowa przekleństw i błogosławieństw.

Są słabi, zmienni, oczekujący jedni od drugich pomocy.

Miłości ludzi i bogów są stale zagrożone możliwością utraty.

Ich stroje, maski i koturny dowodzą, że nie chcą oni zostać w porządku Natury.

Zarazem śmiertelni i nieśmiertelni, mieszkają we własnej krainie wysoko nad światem.

Nie zapominajcie, wy, którzy jesteście ludźmi albo bogami, jaka cześć wam się należy od słońca i galaktyk świata.

Zdziechowski

Zakwitły irysy. Jeszcze raz.
Kiedy zakwitną znowu, skończy się mój wiek.
Rano ocean zakryła przezroczysta mgła.

W otwartych drzwiach do ogrodu
zajmuję się niepamiętaniem.

A nie umiem zapomnieć jego, filozofa rozpaczy,
który zwątpił w dobroć Stworzenia.

Widzę piaszczysty trakt wysadzany brzoźami,
między Mińskiem i Wilnem, z krętą pośrodku koleiną.

Nie było wtedy ani asfaltowych dróg, na stację po gości
wysylalo się konie.

Mógł przyjmować u siebie Władimira Solowjowa, żeby
słyszeć
od niego o pojednaniu katolicyzmu i prawosławia.

Jak też wspólnie rozważali, czy kaczki na dworskim stawie
mogą być zbawione,

Czy mucha i mrówka są objęte dziełem Odkupienia.

Prawo udręki wszystkiego co żywe
kto ustanowił tutaj na ziemi?

Zachowałem dotychczas jego słowa: "I w miarę lat, im dalej
w życie i świat szedłem, tym wyraźniej i boleśniej
uświadamiałem
sobie, że świat ten, gdy go myślą, jako całość, objąć,
bezludem jest
i bezrozumem, nie zaś, jak nas ucza, dziełem rozumu: nie z
ręki
Boga on wyszedł."

Oto idzie ulicą na wykład w Krakowie,
A z nim jego współcześni: tiul, aksamit, satyna
Dotykają ciała kobiet podobnych lodygom
Wymyślnych roślin secesyjnej mody.
Spojrzenia i wezwania z wnętrza nocy.

W kosmicznej bitwie miecze aniołów.
Książę Rebelii naciera, cofają się słudzy jasności.

Okrucieństwo, kamienne,
Jak inaczej tłumaczyć? Choć on, profesor,
Nie mógł mówić wyraźnie, że wierzy w diabelskość świata.

Samotny na ich święcie barwy i dotyku.

"Nie ma Boga - głosem wielkim wołają i natura, i historia...
ale
głos ten ginie w harmonii psalmów i hymnów, w tym
wielkim,
odwiecznym, z najgłębszych głębin ducha idącym wyznaniu,
iż jako »ziemia bez wody« jest dusza człowieka poza Bogiem.
Bóg jest. Tylko fakt istnienia Boga to coś przekraczającego
zakres
myśli światem zewnętrznym zajętej, to cud. *Le monde est
irrationnel.*
Dieu est un miracle."*

Tylko dźwięk dzwonów,
Tylko jarzenie monstrancji,
Głosy śmiertelne ogłaszają chwałę,
U Dominikanów i Franciszkanów
Posadzki wytarte stopami pokoleń
Chronią nas. Nawet jeżeli złudzenie
Łączy nas wiarą w nieśmiertelne trwanie,
Dzięki czynimy, proch, za cud wierności prochu.

Magnificencjo Rektorze, podszedłem do Ciebie, młodziutki,
na stopniach Biblioteki pod wieżą Poczobutta malowaną w
znaki
Zodiaku.

W mieście, które na bolszewikach zdobyli polscy ułani,
świadomy,
czekałeś "w obliczu końca".

Widywano ciebie, jak przejeżdżałeś powozem, kopyta pary
koni
stukwały na nierównym bruku, nie uznawałeś samochodu ani
telefonu.

Z tańcami, kwitnieniem bzów i czeremchy, wiankami na
rzece
zapadało się miasto.

Umarłeś w samą porę, twoi przyjaciele szeptali kiwając
głowami:
"Ależ miał szczęście!"

Spełniona przepowiednia, cokolwiek dotychczas trwało,
zatonęło,
tylko wieże kościelne sterczały chwilę nad otchłanią.

Może jestem jak ten, który, kiedy nie było nigdzie schronienia
przed wywózką do łagrów, ukrył się na dzwonnicy Świętego
Jana tak ocalał?

Łania z dwoma dopiero co urodzonymi jelonkami popasa na
trawniku przed domem.

Nieubłagany ciąg zagłady i narodzin, Magnificencjo.

Długo trwała moja nauka powściągnięcia siebie.

Bardziej od ciebie przebiegły, poznawałem moje stulecie,
udając,

że znam sposób i zapominam o bólu.

* *Świat jest irracjonalny. Bóg jest cudem.*

** Cytaty według: Marian Zdziechowski,
Pejzazm, romantyzm a podstawy chrześcijaństwa, 1915

Przeciwko poezji Filipa Larkina

Życ nauczyłem się z moją rozpaczą.
A tu przychodzi ktoś, kto, nieproszony,
Wierszem wylicza powody rozpaczcy.
Czy mam dziękować? Nie bardzo jest za co.
Skoro świadomość różne ma poziomy,
Na niższy spycha mnie, kto śmiercią straszy.

Ja też pamiętam, żalobny Larkinie,
Że śmierć nikogo z żywych nie ominie,
Nie jest to jednak temat odpowiedni
Ani dla ody, ani dla elegii.

Na śmierć poety

Zatrzasnęły się za nim wrota gramatyki.
Teraz szukajcie go w gajach i puszczech słownika.

O nierówności ludzi

To nieprawda, że jesteśmy mięso,
które przez chwilę gada, tusza się, pożąda.

Mylne są plaże z mrowiem obnażonych ciał
I tłumy na ruchomych schodach metra.

Na szczęście nie wiemy, kim jest ten człowiek obok.
Może być bohaterem, świętym, geniuszem.

Ponieważ równość ludzi jest urojeniem
I kłamią tablice statystyk.

Na mojej własnej potrzebie uwielbienia
Opieram przekonanie o co dzień odnawianej hierarchii.

Stąpam po ziemi chroniącej wybrane popioły,
Choć nie będą trwać dłużej niż popioły innych.

Przyznaję się do wdzięczności i podziwu,
Ponieważ brak powodu, żeby wstydzić się szlachetnych
uczuc.

Obym okazał się godny wysokiej kompaniji,
I szedł z nimi, niosąc połę królewskiego płaszcza.

Krawat Aleksandra Wata

Ten krawat, dziany, z grubym węzłem,
w zgodzie z barwą ciemnej koszuli
i marynarki tweedowej
zachwycił mnie.

Był to naprawdę wytworny pan o czarnym wąsie
krótko przyszyżonym.

Ktoś przedstawił mnie na Mazowieckiej, trochę dalej niż Ziemiańska i księgarnia Mortkowicza (jedynie miejsce w Warszawie, gdzie można było dostać moje *Trzy zimy* wydane w 300 egzemplarzach).

Kto uwierzył w Opatrzność, musi widzieć Oko:
Cwałuje jeździec Pamiru w różach i fioletach.
Ulica Benvenue w Berkeley i Wat na tapczanie.
Jego zdumienie, kiedy próbuje ogarnąć swój los.
Bo skąd Wat w *pritonach San Francisco*,
lilonyj niegr Weretyńskiego?
I ja z magnetofonem. Młodzieniec z prowincji
miał, okazuje się, złożyc świadectwo.

Co prawda razem przeżyliśmy tę kolację z Parandowskimi
w straszego Sylwestra 1950 roku.

Biedne Wacisko.
Nacierpiał się w Kazachstanach i Tadżykistanach

mimo tego krawata
przy ulicy widm, Mazowieckiej w Warszawie.

Do poety Roberta Lowella

Nie miałem prawa tak mówić o tobie,
Robercie. Zazdrość chyba emigranta
Podyktowała takie wyszydanie
Twoich depresji, stanów przerażenia,
Niby-wakacji w bezpieczeństwie klinik.
Nie, to nie zaduma z mojej normalności.
Oblęd, wiedziałem, podkradał się we mnie,
Szedł cienką nitką do samego środka,
Na moje tylko czekał przyzwolenie,
Żeby mnie porwać w swoje mroczne kraje.
I byłem czujny. Niby człowiek chromy,
Który maskuje ulomność, chodziłem
Wyprostowany, żeby nikt nie odgadł,
Co tam naprawdę dzieje się w środku.
ty nie musiałeś. Tobie było wolno,
Nie mnie, zbiegowi na tym kontynencie,
gdzie tylu innych zginęło bez śladu.
Wybacz mój błąd. Na nic twoja wola
Przeciw chorobie, co była jak piętno.
Pod moim gniewem ukrywała się
Niewybaczalna pycha poniżonych.
Stąd teraz, późno, ten mój list do ciebie,
Dla pokonania tego, co nas dzieli:
Gestów, konwencji, złudzeń i narzeczy.

Pastele Degasa

Te plecy. Rzecz erotyczna zanurzona w trwaniu,
A ręce uwikłały się w rudych splotach,
Tak bujnych, że czesane, ściągają w dół głowę.
Udo i pod nim stopa drugiej nogi,
Bo siedzi, rozchylając zgięte kolana,
I ruch ramion odsłania linię jednej piersi.
Tu, niewątpliwie, w stuleciu i roku,
Które minęły. Jakże ją dosięgnąć?
I jak dosięgnąć tamtą, w żółtym peniuarze?
Czerni rzęsy przed lustrem, podśpiewując.
Trzecia leży na łóżku, pali papierosa
I ogląda żurnal mody. Jej koszula

Z muślinu, biel obfita okragło prześwieca
I różowawe sutki. Kapelusz malarza
Wisi między sukniami na antresoli.
Lubił tutaj siadywać, rozmawiać, rysować.
Cierpkie w smaku jest nasze ludzkie obcowanie
Z powodu znajomego dotyku, ust chciwych,
Kształtu bioder i nauk o duszy nieśmiertelnej.
Przybiera i odchodzi. Fala, wełna, wilna.
I tylko ruda grzywa błysnęła w otchłani.

Sicilia sive insula mirandae

*Wiersz poniższy, tak właśnie zatytułowany, rzekomo autorstwa
Torquato Tassa, był ofiarowany przeze mnie w starannie
wykaligrafowanym rękopisie pani Anny Iwaszkiewiczowej na jej
imieniny 26 lipca 1943 roku. Nie był drukowany w żadnym z moich
tomów wierszy.*

Torquato Tasso

Na morzu granatowym biała wyspa świta.
Ptaki lecące widzą jej oliwne gaje
I osiolka, na którym służąca, Artemis,
Jedzie do domu drogą między winnicami.
Jej panią jest Miranda. Dom stoi na wzgórzu.
Kiedy jeźdźcy na mulach wjeżdżają pod bramę,
Wolają długo, dłonie składając przy ustach
I echo wtórzy echu: Mirando, Mirando.
Wyżej krater wulkanu nad zielenią lasów
I słońca wóz błyszczący toczy się po niebie.
Miranda schodzi w blasku. Pierścienie jej włosów
Ciemne na długiej sukni barwionej przez ciało.
Już wstępują na schody goście i w pokoje
Prowadzi ich, i woła klaszcząc: hej, Artemis,
Przynieś wina, weź tego, co stoi na prawo.
A wtedy zasiadają na krzesłach rzeźbionych
Pod jej wzrokiem, podobnym do przymkniętej nocy.

O poezji, z powodu telefonów po śmierci Herberta

Nie powinna istnieć
ze względu na poczęcie,
embrion i poród,
szybkie dorastanie,
uwiad i śmierć,
bo co jej do tego.

Nie może mieszkać
w alkowach serca,
w zgryźliwościach wątroby,
w sentencjach nerek,
ani w mózgu zdany na łaskę tlenu.

Nie powinna istnieć, ale istnieje.
Ten, który jej służył,
leży zmieniony w rzecz
wydaną rozpadowi na sole i fosfaty,
zapadającą się
w swój dom chaosu.

Rano rozdzwoniły się telefony.
Kapelusze ze słomki, śliskich włókien, płótna
są przymierzane w lustrach
przed wyjściem na plażę.

Próżność i żądza dalej zajęte sobą.

Oswobodzona z majaków psychozy,
z krzyku ginących tkanek,
z męki białego na pal

Wędruje światem
Wiecznie jasna.

Unde malum

"Skąd się bierze zło?
jak to skąd

z człowieka
zawsze z człowieka
i tylko z człowieka"
Tadeusz Różewicz

Niestety panie Tadeuszu
dobra natura i zły człowiek
to romantyczny wynalazek
gdyby tak było
można by wytrzymać
ukazuje pan w ten sposób głębię
swego optymizmu

wystarczy pozwolić człowiekowi
wytruć swój rodzaj
a nastąpią niewinne wschody słońca
nad florą i fauną wyzwoloną

na pofabrycznych pustkowiach
wyrósł dębowe lasy
krew rozszarpanego przez wilki jelenia
nie będzie przez nikogo widziana
jastrząb będzie spadać na zającą
bez świadków

zniknie ze świata zło
kiedy zniknie świadomość

rzeczywiście panie Tadeuszu
zło (i dobro) bierze się z człowieka

Różewicz

on to wziął poważnie
poważny śmiertelnik
nie tańczy

zapala dwie grube świece
siada przed lustrem
ubawiony własną twarzą

nie ma pobjazania
dla frywolności form
zabawności ludzkich wierzeń
chce wiedzieć na pewno

ryje w czarnej ziemi
jest łopatą i zranionym przez łopatę kretynem

Ogrodnik

"Wszyscy więc ciałem i w sprawach naszych podlegamy
diabłu i gościmy na świecie, którego on jest panem i bogiem.
Dlatego pod jego władzą jest chleb, który jemy, napój, który
pijemy, ubranie, które nosimy, nawet powietrze, i wszystko,
czym żyjemy".

Martin Luther, *Komentarz do Kalatów*, rozdział 3

Adam i Ewa nie na to zostali stworzeni,
Żeby klaniać się księciu i władcy tej ziemi.

Inna, słoneczna, ziemia poza czasem trwała.
Im obojgu na wieczną szczęśliwość oddana.

Siwobrody ogrodnik drzew na niej doglądał,
Chociaż siat nie stał w blasku, tak jak tego żądał.

Na dni i wieki patrzył niby przez lunetę
Na całe swoje dzieło, tak dobrze zaczęte,

Które z winy poznania obrócić się miało
W nienasycenie duszy i ranliwe ciało.

Ostrzegł ich, ale wiedział, że to nie pomoże,
Bo już byli gotowi i tak jakby w drodze.

Niewidoczny w listowiu, dumal, zasmucony,
Widział ognie i mosty, okręty i domy,

Samolot w nocnym niebie migający iskrą.
Łoża z baldachimami i pobojuwisko.

O biedne moje dzieci, więc tak się wam śpieszy
Do piachu, w którym czaszka żółte zęby szczyrzy ?

Do zamykania bioder w majtki, krynoliny,
Do odkrywania ciągów skutku i przyczyny?

Oto zbliża się wróg mój i zaraz wam powie:
Spróbujcie, a staniecie się jako bogowie.

Lokaje samolubnej miłości i zbrodni,
I zaiste bogowie, tylko że ulomni.

Nieszczęsne moje dzieci, jaka długa droga,
Nim zrujnowany ogród zakwitnie od nowa,

I lipową aleją wrócić przed ganek,
Gdzie na rabatkach pachną szalwia i tymianek.

I czy było konieczne nurzać się w otchłani,
Systemata układać, zamiast mieszkać w baśni,

Nad którą nieustanna jest moja opieka?
Bo prawdę mówi Pismo, że mam twarz człowieka.

Jeden i wiele

Liczbą zarządza Książę Tego Świata,
Pojedynczością ukryty Bóg włada,
Pan poratowań i sprawca wyjątku,
W moich błędzeniach mieszkał od początku.

Jeden, przeciwko tabliczce mnożenia.
Szczególny, wolny od uogólnienia.

Bez rąk i oczu, jednak rzeczywisty.
nie odsłonięty, ale co dzień isty.

Niech nas nie straszą milenia daremne,
Groty jaszczurów umieraniem ciemne,
W płatach zgnilizny mrowiące się życie,
Ani odległych galaktyk mgławice.

Bo głos człowieczy w próbach nie ustaje,
Pieśń układając ku grozie i chwale.
I wszystkie rzeczy są nam ostateczne,
Obce i piękne, chociaż w sobie sprzeczne.

Alkoholik wstępuje w bramę niebios

Jaki będę, Ty wiedziałeś od początku.
I od początku każdego żywego stworzenia.

To musi być okropne, mieć taką świadomość,
w której są równoczesne
jest, będzie i było.

Życ zaczynałem ufny i szczęśliwy,
pewny, że dla mnie co dzień wschodzi słońce,
i dla mnie otwierają się poranne kwiaty.
Od rana do wieczora biegalem w zaczarowanym ogrodzie.

Nic a nic nie wiedząc, że Ty z Księgi Genów
wybierasz mnie na nowy eksperyment,
jakbyś nie dość miał na to dowodów,
że tak zwana wolna wola
nic nie poradzi wbrew przeznaczeniu.

Pod twoim ubawionym spojrzeniem cierpiałem
jak liszka żywcem wbita na kolec tarniny.
Otwierała się przede mną straszność tego świata.

Czyż mogłem nie uciekać od niej w urojenie?
w trunek, po którym ustaje szcęknięcie zębami,
topnieje gniotąca pierś rozpalona kula
i można myśleć, że jeszcze będę żyć jak inni?

Aż zrozumiałem, że tylko błędę od nadziei do nadziei
i zapytałem Ciebie, Wszechwiedzący, czemu
udręczasz mnie. Czy to próba, jak u Hioba,
aż uznam moją wiarę za uludę
i powiem: nie ma Ciebie ni twoich wyroków,
a rządzi tu n ziemi tylko przypadek?

Jak możesz patrzeć
na równoczesny, miliardokrotny ból?

Myślę, że ludzie, jeżeli z tego powodu nie mogą uwierzyć,
że jesteś, zasługują w Twoich oczach na pochwałę.

Ale może dlatego, że litowałeś się bez miary, zstąpiłeś na
ziemię,
żeby doznać tego, co czują śmiertelne istoty.

Znosząc ból ukrzyżowania za grzech, ale czyj?

Oto ja modłę się do Ciebie, ponieważ nie modlić się nie
umiem.

Bo moje serce Ciebie pożąda, choć wiem, że nie ulecysz
mnie.

I tak ma być, żeby ci, którzy cierpią, dalej cierpieli,
wysławiając Twoje Imię.

Obrzęd

Ależ tak, Bereniko. Nie tyle więcej spokoju,
Co pobbazania dla siebie i innych.

Nie wymagać od ludzi
Zalet, dla których nie są stworzeni:
Harmonii rozumowań, wierzeń ze sobą
Niesprzecznych, zgody
Pomiędzy uczynkami i wiarą, pewnością.

Zdawałoby się przezroczyści, że widać na wylot,
A tam ciemne, klębiące się moce.
Myślę teraz o Jerzym, Atanazym, Kasi,
O których nikt nie opowie aż do sądnego dnia.

Jakież tam komplikacje! Linia losu
Rozdziela się, koziolkuje, skacze w bok,
Ale zostaje jedna w ludzkiej pamięci.
Słowa raz wymówione są im przypisane,
Choć nie przyznałoby się do nich.
I kiedy nawet chcieli przekazać świadectwo,
Nie wynikło nic z tego, bo gdzie im do prawdy.

Tacy tedy klękamy w naszym kościele,
Pośród kolumn zwieńczonych złotym akantem
I strojnych aniołów, których cienkie trąbki
Obwieszczają za dużą dla nas wieść.

Uwaga nasza krótka, mówi Berenika.
Moja myśl wraca, liturgii na przekór,
Do lustra, łóżka, telefonu, kuchni,
Niezdolna unieść miasta Jeruzalem
Sprzed dwóch tysięcy lat, i krwi na krzyżu.

Jednak szybujemy, chociaż obciążeni
Zapachem sosów, krzykami z wąskich uliczek,
Widokiem polci mięsa w sklepach rzeźniczych,
Wzbijając się nad ołtarz, kościół, miasto,
Obiegając wirującą ziemię.

I oni, nasi bliźni, Bereniko,
W tej samej ławce obok, ich świadomość,
Moja świadomość. Oto tajemnica
Niemal miłosnej przemiany mojego "ja" w "my".

"Jesteście solą ziemi, jesteście światłem ziemi" -
Powiedział i przyzwał nas do swojej chwały,
Zwycięzca niepoddanych nikomu praw świata.

Wiem, że przyzywał - mówi Berenika.
Ale co z wątpiącymi? Czy dają świadectwo,
Kiedy milczą z miłości do Jego imienia?

A może my zaczniemy adorować kamień,
Zwyczajny polny kamień, samo jego Bycie,
I odprawimy modły, nie otwierając ust?

Osoby

Był jedynym poetą swego małego narodu.

Przed nim nikt tam nie umiał stawiać znaczków na papierze.

Spisywał zaklęcia szamanów i opowieść o początku:
O pierwszych ludziach, którzy rodzi się z kwiatów
I mieli skrzydła, dające im światło.
Żadnych światel na niebie wtedy nie było.

Potem zjedli pewien korzeń, poznali grzech
I stracili swoje skrzydła, zrobiło się ciemno.
Na ich prośbę słońce i księżyc zostały stworzone.

Rozmyślał, co na swój język przetłumaczy:
Homera? Biblię? Markiza de Sade? Rilkego?

Albo tylko ułoży hymn narodowy
I wymyśli sztandar z wizerunkiem niedźwiedzia.

Ja jednak medytuję nad słabością języka.
Jestem bardzo stary i razem ze mną znikną słowa
niewymówione,
W których mogłyby mieć dom osoby dawno umarłe.
A ja nie umiem sprawić, żeby ukazały się
Z ich tylko owalem twarzy, kształtem brwi, kolorem oczu,
I wędrują gdzieś doliną przemijania,
Ledwie że osobne w nieograniczonym tłumie
Wieków, języków, pokoleń.

I ty z nimi, Klaudyno, która do mnie pisałaś:
"Jesteś dla mnie wciąż kimś jakby dziecinny (może poeci
zostają tacy do końca), kimś, komu wybacza się wszelkie
wybryki
i kocha pomimo wad".

Ten, którym byłem, widzi las brzoźowy i nas dwoje w nim,
i ławy przy stole na kolacji u sąsiadów.

Niemal na naszej uczcie weselnej, ale na nic układać późno
historię życia.

Ciebie też wzywam, Roksano, choć tak samo nie chciałbym
biografów naprowadzić na ślad.

Najpierw bicie serca na dźwięk imienia, potem tylko że byli
raz
mężczyzna i kobieta, jak inni, wcieleni przed wiekami.

W jakimś mieście portowym moglibyśmy, ty i ja, po latach,
siedzieć w barze i wspominać oczarowanie.

Opowiedziałbym tobie wszystko, co zrozumiałem, choć tego
niewiele.

O nieograniczonej zdolności wmawiania w siebie
szlachetnych
uczuc.

O dwóch miłościach własnych, przybranych w maski
kochanków.

O tym, jak wbrew swojej woli opuszczamy ukochaną i
skazujemy
żywą istotę na umieranie z chłodu.

A zawsze ty, Bereniko. Drzę, kiedy wymawiam twoje
prawdziwe imię.

Byliśmy jak dwa okręty nawołujące się we mgle, nie widziałyś

mnie, ani ja ciebie.

Tragedia rozpoznania pomyłki i winy już zapada między
zdarzenia anonimowe.

Zaiste, kiedy byliśmy młodzi, nie wierzyliśmy, że tak trywialne
nieszczęścia mogą się zdarzyć nam, wyższym umysłom.

Zaraz będę tam z wami, na równinach podziemnego
królestwa,
i ty, milcząca, wyjdiesz na spotkanie.

Jakaż to rozmowa, dwojga przeminionych, kiedy nie mam nic
na swoją obronę prócz zapisanych stron mego dzieła.

Ale słyszę chór, potężnieje, grzmi, przyłączam się i śpiewam z
innymi.

Chór nas, grzeszników, mężczyzn i kobiet, przewracających
stronice partytury w słońcu, jak tam na ziemi.

Czuję ulgę myśląc, że nie byłem lepszy ani gorszy niż wielu
i że razem z nimi czekam na przebaczenie.

Ze wszystkich stron napierają plemiona bez głosu, niewinna
trawa oplata płyty nagrobne.

W parafii

Gdybym nie był kruchy i przelamany od środka,
Nie myślałbym o innych - jak ja, przelamanych od środka.
Nie wybrałbym się na pagórek, na cmentarz koło kościoła,
Żeby starać się pozbyć litości nad sobą.
Zośki szalone,
Przegrywający wszystkie bitwy Kazikowe,
Samoudręczające się Agaty
Leżą pod krzyżami z rokiem urodzenia i śmierci. I któż
Ich wypowiedź? Ich mamrotania, szloch, nadzieje, lzy
upokorzenia?
Ci sami w śluzach, w zapachu moczu,
W szpitalnym wstydzie pokręconego ciała.
I zaraz wieczność. Niestosowna. Nieprzyzwoita.
Jak dom lalek zgnieciony kołami, jak słoń depczący
Chrabąszcza, jak zatapiający wysepkę ocean.
Zaiste, dziecinna głupota nas wszystkich
Nie licuje z powagą rzeczy ostatecznych.
Nie mieli czasu, żeby cokolwiek zrozumieć
Z jednostkowego bytu,
Z principium individuationis,
Ja też nie rozumiem, ale co poradzę.
Całe życie zamknięty w lupinie orzecha,
Na próżno chciałem stać się kimś zupełnie innym.

Schodzimy tedy w ziemię, parafianie.
Z nadzieją, że trąby Sądu wywołają nas po imieniu.
Zamiast wieczności, ziele i ruch obłoków,
Wstaje tysiąc za tysiącem Zoś, Katarzyn, Bartłomiejów,
Maryś, Agat, Bronisławów,
Żeby wreszcie wiedzieli
Dlaczego to było i po co.

Modlitwa

Pod dziewięćdziesiątkę, i jeszcze z nadzieją,

Że powiem, wypowiem, wykrztuszę.

Jeżeli nie przed ludźmi, to przed Tobą,
Który mnie karmiłeś miodem i piołunem.

Wstydzę się, bo muszę wierzyć, że prowadziłeś i chroniłeś
mnie,
Jakbym miał u Ciebie szczególnie zasługi.

Podobny byłem do tych z Łagru, którzy dwie gałązki
sosnowe
wiązali na krzyż, i mamrotali do nich nocą na pryczy w
baraku.

Zanosilem prośbę egoisty, i raczyłeś ją spełnić,
Po to, żebym zobaczył, jak była nierozumna.

Ale kiedy z litości dla innych błagałem o cud,
Milczały, jak zawsze, i niebo, i ziemia.

Moralnie podejrzany z powodu wiary w Ciebie,
Podziwiałem niewierzących za ich prostoduszny upór.

Jakiż to ze mnie tancerz przed Majestatem,
Jeżeli religię uznałem za dobrą dla słabych, jak ja?

Najmniej normalny z klasy księdza Chomskiego,
Już wtedy wpatrywałem się w wirujący lej przeznaczenia.

Teraz pięć moich zmysłów powoli zamykasz,
I jestem stary człowiek leżący w ciemności.

Wydany temu, co mnie tak udrećzało,
Że biegłem prosto przed siebie, w układanie wierszy.

Uwolnij mnie od win, prawdziwych i urojonych.
Daj pewność, że trudziłem się na Twoją chwałę.

W godzinie mojej agonii bądź ze mną Twoim cierpieniem,
Które nie może świata ocalić od bólu.

Daemones

Zbliża się pora wyznania.
Oto się prawda odsłania
I twoje życie skłamane
Świata ma być pokazane.
Pewnie, że gorzka chwila,
Každy się przed nią uchyła,
Wstyd pali, kwili sumienie,
Kiedy się zjawiasz na scenie
Przed obojętnym gronem,
Starą tragedią znudzonym.
Doceniam twoją odwagę
I między zalety kładę,
Że wolisz cierpieć widomie,
Niż chować się za ironię.
A zresztą w późnej starości
Widok się nieco uprościł,
Znikły przebrania sute,
Chciałbyś odprawiać pokute,
Krok stawiasz, lydki się trzęsą
I trumny boi się mięso.

Pakt nasz dobiega końca.
Nie cofniesz zachodu słońca.

Co obiecane, spełniłeś,
Rzec można, nie darmo żyłeś.
Twoje zebrane dzieła
Sława jęzorem liznęła,
Nagrody, brawa, zaszczyty
Witasz, w grzecznościach ukryty
I brząk złotego łańcucha
Powinien dodawać ducha.

- Niestety, Panowie diabli,
Choćbyście mnie dopadli,
Pożytku dla was niedużo,
Nie nacieszycie się duszą.
Forma mnie zawsze pęta,
Gra wcześniej była zaczęta,
Czy lepszy byłem, czy gorszy,
Na grze mój żywot się skończy,
I z całą moją odwagą
Nie umiem wystąpić nago,
Rytmy i rymy odrzucić,
Do samej esencji wrócić.

Przez mroczne biegłem katedry,
nieznane siły mnie strzegły
W popiołach, trzasku i dymie.
Karany za to, że żyję,
Nosilem skazę pamięci,
Czerń dodawałem do wierszy.
Ale kim byłem naprawdę,
Nie zdradzą pisanie żadne.
Czy w obłok, zmienny i nikły,
Będziecie pakować widły
I za to drećzyć przez wieki,
Że człowiek byłem kaleki?

- Źle być, wyznajesz z pokorą,
Nie tym, za kogo nas biorą.
Codziennie rozpacz ukrywać,
Maszkary z twarzy nie zmywać,
I tylko chodzić z nadzieją,
Że ludzie nas nie wyśmieją.
A trwoga twoja największa,
Że zajrzą tobie do wnętrza
I zamiast sprawiedliwego
Zobaczą wariacje ego,
Które się w jednym nie zmienia:
W przyznaniu sobie znaczenia.

- Żadnej podświadomości pewno nie miałem.
Bardziej grzeszyłem, nie wie, duszą czy ciałem?
W psychoanalityczne nie wierzę głębie.
Jeżeli postęp, nie mi po tym postępie.
Po prostu diabli męczą, a wtedy przykro.
Bronię się zamawianiem, jakby modlitwą.
Zamiast spowiedzi, w nocy układałam strofy.
Tylko dlatego mądry, że zaściankowy.

PO

Opadły ze mnie poglądy, przekonania, wierzenia,
opinie, pewniki, zasady,
reguly i przyzwyczajenia.

Ocknąłem się nagi na skraju cywilizacji,
która wydawała mi się komiczna i niepojęta,

Sklepione sale pojezuickiej akademii,
w której kiedyś pobierałem nauki,
nie byłyby ze mnie zadowolone.

Mimo że jeszcze zachowałem
kilka sentencji po łacinie.

Rzeka płynęła dalej przed dębowe i sosnowe lasy.

Stałem w trawach po pas, wdychając dziki zapach
żółtych kwiatów.

I obłoki. Jak zawsze w tamtych stronach,
dużo obłoków.

Nad Wilką, 1999

Jasności promieniste

Jasności promieniste,
Niebiańskie rosy czyste,
Pomagajcie każdemu
Ziemi doznającemu.

Za niedosiężną zasłoną
Sens ziemskich spraw umieszczono.
Gonimy dopóki żywi,
Szczęśliwi i nieszczęśliwi.

To wiemy, że bieg się skończy
I rozłączone się złączy
W jedno, tak jak być miało:
Dusza i biedne ciało.